

Mariusz Malinowski, *W poszukiwaniu brazylijskości. Główne nurty brazylijskiej myśli społecznej w XX wieku*, CESLA UW, Warszawa 2011, 437 ss.

Kłopoty z samym sobą

*Nasz naród jak lawa
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi
Płwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi*

Adam Mickiewicz, *Dziady*, cz. III

Analizowanie problematyki narodowościowej niekiedy zdaje się tematem dla psychiatrów. Czasami zresztą zajmują się oni takimi zagadnieniami. Gdy kiedyś wróciłem do domu, żona mi powiedziała: „Jakiś psychiatra Cię szukał”. Zaniepokoiłem się — bo człowiek może nie zdawać sobie sprawy z własnego stanu (*sic!*). Okazało się jednak, że ów psychiatra poszukuje tylko historyka do konferencji swojego środowiska zawodowego o stosunkach chrześcijańsko-żydowskich w Polsce¹. Po prawdzie, może rzeczywiście ono było bardziej predestynowane do ich zrozumienia niż przedstawiciele innych nauk społecznych.

W recenzowanej książce Mariusz Malinowski zajął się specyficznym aspektem tematyki narodowościowej — tym, co mianowicie Brazylijczycy myśleli o sobie w XX w. Autor zrobił pracowity, staranny oraz interesujący przegląd dzieł najwybitniejszych humanistów brazylijskich oraz polemik prowadzonych wokół ich tez. Prześledził jak ci badacze odkrywali Brazylię dla siebie i dla ogółu Brazylijczyków. Wybrał ich według własnego uznania — ale najpewniej trafnie. Przedstawił ich jako mających dobrą wolę w zakresie badawczego poszukiwania. Choć reprezentowali różne, nieraz przeciwstawne poglądy, także bardziej lub mniej sympatyczne z punktu widzenia samego Malinowskiego, przedstawił ich w książce w jednakowym świetle — neutralnie pozytywnym (co jest dobre dla zaznajomienia się z rozpatrywaną twórczością).

Oczywiście zawsze pozostaje pytanie w jakim stopniu tacy intelektualiści byli typowi dla całej społeczności, a w jakim byli oryginałami; w jakim zaś, będąc oryginałami, jednak kształtowali myślenie innych. Przedstawiciele nauk społecznych, badacze opinii publicznej, czy, skądinąd, dziennikarze, zawsze występują w podwójnej roli: prowadzących refleksję nad rzeczywistością i kształtujących ową rzeczywistość

¹ M. Kula, *Drugie polsko-izraelskie seminarium psychiatryczne*, „Kwartalnik Historii Żydów”, 2001, nr 2, s. 282-283; *idem, Historia moja miłość (z zastrzeżeniami)*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2005, s. 146-147.

swoimi wynikami. Tego nie da się uniknąć, także w sprawach narodowościowych. W Brazylii owo zjawisko było o tyle silne, że publikacje z zakresu nauk społecznych przyjęły tam formę silnie publicystycznych esejów; zmiana w kierunku nauki-nauki przyszła stosunkowo późno. Owe eseje były relatywnie szeroko czytane. W zakresie rozważanej tematyki odgrywały więc rolę, którą w innych krajach odegrała literatura piękna i poezja (niedaleko szukając, w Polsce np. *Dziady* Mickiewicza, których fragment posłużył za motto niniejszej recenzji).

Pierwsze wrażenie, jakie odnosi się przy wchodzeniu w myśli eseistów za pośrednictwem Malinowskiego, to poczucie, że byli to ludzie potężnie zakompleksieni. Nie wykluczone, że także o nich psychiatrzy mogliby zorganizować jakąś konferencję. Można chwalić brazylijskich eseistów za to, że nie wpadali w nurt historii bałwochwalczej, że byli krytyczni wobec własnej historii i współczesnych losów narodu. Liczni z nich dostrzegali całą ludność, rekrutującą się z różnych grup etnicznych, a nie jedynie elity. Można tych humanistów zrozumieć i polubić nawet jeśli istotnie różnili się między sobą — choćby dlatego, że szukali historii swojego narodu, a chcieli przy tym wydzwignąć go we własnej i cudzej opinii. Można zrozumieć ich specyficzne trudności, wynikające z tego, że Brazylia nie mogła nawiązać ani do znanych kultur indiańskich, ani do walk wyzwoleniczych oraz ich bohaterów (bowiem ich prawie nie było). Niemniej już samo nasilenie stawiania pytania o sens „brazylijskości”, o istotę narodu, o jego los, o jego szanse (i to narodu oraz państwa jednego z największych na świecie!) było czymś niepokojącym. Wyglądało to trochę tak, jak gdyby pojedynczy człowiek nieustannie podchodził do lustra i pytał jaki jest, czy jest piękny, czy ma szanse, potem obnażał się i pytał o każdy element ciała, o to czy elementy współgrają ze sobą... No dobrze, każdy z nas czasem podchodzi do lustra, ale badawcze przeglądanie się sobie u większości ludzi mija wraz z dorastaniem lub/i nie zajmuje przesadnie dużo czasu.

Czy reakcja badaczy brazylijskich wynikała z ciągłego trwania procesu kształtowania się narodu brazylijskiego? Z jego — przenośnie mówiąc — „niedojrzaenia” jako narodu? Może sygnalizowane przez Malinowskiego niedawne osłabienie omawianego nurtu refleksji jest refleksem narodowego „dojrzenia” — nawet jeśli częściowo wynika pewno z „dojrzenia” samych humanistów brazylijskich i przyjęcia przez nich, na skutek zwiększonych kontaktów zagranicznych, konwencji nauki-nauki?

Owo szukanie „brazylijskości”, czy „istoty Brazylii”, może też trochę tracić znaczenie w malejącym i w pewnych zakresach upodabniającym się świecie. Pytanie jednak, czy dawniej miało sens? Ta „istota”, podobnie jak tzw. charakter narodowy, zawsze bywały przecież dyskusyjne. Nie da się zaprzeczyć, że pod określenia „Włoch”, „Polak” itd. podkładamy pewne treści (inna sprawa w jakim stopniu adekwatne do rzeczywistości, a w jakim stereotypowe) — ale jakże często potem mówimy „Włoch, a nie lubi makaronu”, zaś inni z podobnym zdziwieniem mówią „Polak, a nie wyssał antysemityzmu z mlekiem matki i nie pije”. Nadto wszystkie, choćby ewentualnie adekwatnie do rzeczywistości wytropione cechy narodów, ulegały częstym zmianom. Nawet Niemcy przed wojną byli uważani za całkiem kulturalny naród; potem postrzegano ich jako wcielenie zła, a teraz na ogół są znów niezłe notowani.

Brazylijscy intelektualiści wierzyli jednak w znalezienie swego „kamienia filozoficznego” brazylijskości. Czy byli zakompleksieni bardziej niż „przeciętni” Bra-

zyliczycy? Podejrzewam, że tak. Oni przyrównywali się przecież do Europy, bowiem ją znali. Ucieleśniali zjawisko znane z życia inteligencji w różnych krajach „peryferyjnych”. Mając ambicje dorównania do światowych centrów, widzieli, że ich naród jest inny. Widzieli też, że jest mało zmodernizowany, mało rozwinięty gospodarczo. Produkowali zatem teksty z jednej strony akcentujące różne problemy nietypowości, zacofania i generalnie szczególności procesu narodotwórczego, a z drugiej oskarżające Europę, w tym także naznaczoną przez nią historiografię brazylijską, o brak widzenia oryginalności Brazylii oraz wywyższanie znaczenia wpływów portugalskich. W ich postawie zaznaczała się jakaś wielka ambiwalencja. Z jednej strony sami chcieli się odciąć od Europy i Brazylię odciąć od niej w tym sensie, żeby dostrzec, iż była specyficzna, twórcza, nie tylko naśladowcza — a z drugiej strony ciągle przyrównywali swój kraj do Europy, choćby nie *expressis verbis*. Sami z Europy zresztą czerpali wiele inspiracji myślowych — na dobre i na złe (tendencje intelektualne, pisarskie, badawcze, polityczne zarówno lewicowe, jak faszystujące, myśli o istocie zjawiska narodowego). Wynikały z tego pewne paradoksy. Odgrywające wielką rolę w referowanych koncepcjach myślenie o rasach, a nawet mówienie jak dobra była każda z grup rasowych i metysaż, wręcz występowanie przeciw rasistowskiemu niedocenianiu Murzynów, paradoksalnie było zabarwione rasizmem i podejściem eugenicznym. Występujące u Gilberto Freyre, formułowane w dobrych intencjach domniemanie dziedziczenia cech nabytych w ciągu życia było po prostu nieprawdziwe w świetle współczesnej wiedzy genetycznej².

W związku z przedstawionymi przez Malinowskiego drogami myślenia analizowanych autorów nasuwa mi się jedno pytanie. Dlaczego mianowicie dużo piszą o psychologii i socjologii kształtowania się narodu, a mało zwracają uwagę na obiektywne wskaźniki tego procesu i twarde czynniki go warunkujące? Oczywiście, nie można przesadnie uogólniać. Euclides da Cunha zrobił swoisty rekonesans socjologiczny dla poznania ruchu ludowego przeciw elitom, który wybuchł w głębokim interiorze (Canudos). Gilberto Freyre zbierał (choć mało metodycznie) wszystkie możliwe materiały o minionych dziejach. Florestan Fernandes organizował wraz z Roger Bastidem badania UNESCO nad kwestią rasową w Brazylii — nie mówiąc już o tym, że był nauczycielem dwóch wybitnych socjologów, pracujących na dzisiejszym poziomie światowym: Octavio Ianniego i Fernando Henrique Cardosa. Niemniej, przynajmniej w tym, co przedstawił Malinowski, nie znalazłem zwrócenia uwagi przez większość analizowanych autorów na przesłanki terytorialne kształtowania się narodu brazylijskiego (skupienie przy Oceanie, a co za tym idzie łatwa komunikacja pomiędzy skupiskami ludzi, także brak wielkich przeszkód wewnętrznych dla komunikacji na obszarze zamieszkałym). Nie znalazłem śladów dostrzeżenia znaczenia atrybutów nowoczesnego państwa (z systemem szkolnym i nowoczesnym wojskiem na czele), rozpowszechnienia się samolotu, radia, później telewizji. Może te czynniki nie odgrywały roli w Brazylii. Nie chce mi się jednak wierzyć, by można było sprawę tak jednoznacznie załatwić, a w każdym razie nie widzę jej załatwienia przez autorów. Mało widzę fakt skupienia wyobrażeń narodowo-symbolicznych na

² W Polsce wydane: G. Freyre, *Panowie i niewolnicy*, przeł. H. Czajka, PIW, Warszawa 1985. Por. M. Kula, W. Zagórski, *Freyre czytany po upływie pięćdziesięciu lat*, „Przegląd Historyczny”, 1984, nr 1, s. 127-136.

wielkości kraju, na wspaniałej przyrodzie, co przecież miało miejsce. Nie widzę poświęcenia uwagi handlowi wewnętrznemu. Nie wpadając w niemodną już dziś tezę, jakoby gospodarka przesądzała wszystko, trudno mi zanegować znacznie powiązań gospodarczych dla jedności terytorium. Bardzo mało odbijają się w analizowanych tekstach — a przynajmniej w tym, co Malinowski o nich napisał — kwestie działań prowadzonych *de facto* oraz podejmowanych z intencji przez struktury państwowe. Kolonializm pojawia się wyłącznie jako negatywnie naznaczający formowanie się Brazylii i niestety na długo umiejscowiony w jej strukturach. Oczywiście zgadzam się, że kolonializm był zjawiskiem złym z istoty, a koloniści wykończyli większość Indian i zadali cierpienia masie Murzynów (niewolnictwo nie było tak miło-patriarchalne jak sądził Freyre!). Jednocześnie, przynajmniej moim zdaniem warto pamiętać, że bez tego zjawiska mówilibyśmy dziś po pierwsze o innym narodzie — jak odmienne byłoby dziecko zrodzone z choćby jednego innego współmałżonka. Nie byłoby po prostu tematu rozważań prowadzonych przez analizowanych autorów, bo to byłby inny naród — choć może byłyby inne tematy, nie mniej ciekawe. Kolejna sprawa: oczywiście centralizacja portugalskiej kolonii nie musiała przesądzać jej przetrwania jako całości po uzyskaniu niepodległości — ale była jednak korzystniejsza od rozczłonkowania kolonii hiszpańskich. Przyjazd dworu portugalskiego z Lizbony do Salwadoru, a później do Rio, przyniósł znane konsekwencje, nie tylko negatywne dla narodzin narodu i państwa brazylijskiego. Państwo stłumiło separatystyczne powstanie w Rio Grande do Sul (1835–1845), a prezydent Vargas (1930–1945, 1951–1954) nie przypadkowo zadbał, by w korpusie ekspedycyjnym, wysyłanym na włoski front II wojny światowej, znaleźli się przedstawiciele wszystkich stanów, z których składa się federacyjne państwo brazylijskie.

W myśleniu analizowanych autorów — jak je przedstawił Malinowski — prawie nie pojawia się akcja unaradawiająca, prowadzona przez Vargasa w latach 30. XX w. Nie mam do niej żadnej sympatii — ale w kontekście procesu narodotwórczego zarówno poświadczała ona pewien jego etap, jak była najpewniej kolejnym czynnikiem sprawczym. Nawiasem mówiąc, pozadyskusyjnie była wynikiem kompleksów, które elita polityczna dzieliła z nieodległą zresztą wówczas od niej elitą intelektualną. Politycy i oficerowie też wtedy mówili o specyfice „brazylijskości”, podobnie mając trudności ze zdefiniowaniem tego terminu (w gruncie rzeczy definiowali ją przez negację — jako „nie-cudzoziemskość”). Nie widzę, by analizowani autorzy dostrzegli budowę Brasílii, wylansowaną jako cel narodowy przez Kubitschka (1956–1961), ani prób sformułowania analogicznych celów przez później rządzących generałów. Może analizowani autorzy sądzą, że z perspektywy ich problematyki takie akcje nie miały żadnego znaczenia — ale niechby to powiedzieli.

Nie widzę w końcu dostrzeżenia, że samo życie przez pięć wieków w ramach jednej struktury (przy wszystkich zastrzeżeniach do określenia „pięć wieków” i do określenia „jedna struktura”) może wspomóc proces kształtowania narodu. W końcu naród to m.in. wspólnota losów. Rozpatrywani autorzy myślą o przeszłości oraz skutkach jej epizodów i procesów (np. zdobywania interioru), ale nie myślą o niej w kategoriach całokształtu wspólnego losu.

W Polsce elementem definicyjnym tożsamości stały się elementy wspólnego minionego losu takie jak walka, ofiara, męczeństwo, odrodzenie. W oczach liczącej

się części narodu to są znaczące elementy konstytutywne polskości, które widzi się i które chce się umacniać do dziś włącznie (reakcja na katastrofę smoleńską!). W Brazylii dosyć mało myśli się o historii. Jednak sam prezydent Vargas nawiązał do niej przez działania w odniesieniu do flagi, hymnu, tworzenia muzeów, utworzenia służby patrymonium narodowego. Świadomość długotrwałego wspólnego losu chyba więc także tam była istotnym czynnikiem naznaczającym naród.

* * *

W kontekście recenzowanej książki ciekawe byłoby spojrzenie w jakich jeszcze krajach stawiano sobie pytanie o istotę i specyfikę narodu. Wszak różne narody stawiają sobie pytania „Kim jesteśmy?”, „Jacy jesteśmy?” i „Dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy?” (różne narody odczuwają potrzebę stanięcia przed lustrem!). Sam argument wieloetniczności, czy wielogrupowości nie tłumaczy tego zjawiska. Szwajcarzy nie zadają sobie takiego pytania. O analogicznym pytaniu wśród Hindusów też nie słyszałem — choć mogłem oczywiście nie słyszeć. Niemniej w niejednym narodzie wieloetnicznym pojawiało się ono. Można je było usłyszeć w Meksyku. Książka Octavio Paza³ była jednym wielkim pytaniem czym jest meksykańskość. Stawianie go chyba wręcz nasila się w tym kraju obecnie. Treść pomieszczona na tablicy, którą oglądałem na Placu Trzech Kultur w Meksyku-mieście w 1996 r. przez wielu dziś już nie może być aprobowana — choć pewno wciąż tam można ją czytać. Brzmiała (brzmi?) ona następująco:

13 sierpnia 1521 roku, po bohaterskiej obronie Cuauhtemoca Hernàn Cortés zapanował nad Tlatelolco. Moment ten nie był ani chwilą triumfu, ani klęski. Stanowił bolesne narodziny narodu Metysów, jakim jest dzisiejszy Meksyk.

Pytanie o istotę narodu nieraz stawiano lub/i stawia się w Argentynie i w krajach andyjskich, w Hiszpanii, w Australii, również w dyskusjach o odnoszeniu się do Afroamerykanów, Indian oraz do imigrantów w Stanach Zjednoczonych (gdzie prawie wszyscy byli imigrantami — tyle, że przybyłymi w różnych okresach). Także w Afryce Południowej dziś staje ono nieuniknienie ze względu na zasadniczy podział etniczny społeczeństwa.

Nie jest tak, ażeby pozostawanie w rozwoju cywilizacyjnym poza centrum konieczne dyktowało sygnalizowane pytania. Kanada przynajmniej dziś nie pozostaje w tyle, a są to pytania jak najbardziej tam aktualne. Oczywiście stawianie ich może być wzmocnione przez sprawę wieloetniczności, ale bliskość wielkiego sąsiada też jest istotna w tej sprawie. Francja też nie pozostawała i nie pozostaje w tyle za centrum, raczej sama nim jest, a pytanie kto jest Francuzem stawało tam równie dobrze za rewolucji 1789 r. (arystokracja i wrogowie odsądzeni od czci i wiary!), jak dziś. Prawda, że dziś sprawa pojawia się w związku z imigracją muzułmańską. Pytanie, czy współczesna Francja ma swoje korzenie w chrzcie Chlodwiga, czy w wydarzeniach rozpoczętych w 1789 r., stawało podczas obchodów 200-lecia rewolucji. W Niemczech próba odpowiedzi kto jest Niemcem skończyła się zbrodniczo wobec niemieckich Ży-

³ O. Paz, *Labirynt samotności*, przeł. J. Zych, WL, Kraków 1991.

dów. Potem stawało pytanie, czy istnieją dwa narody niemieckie. Może zresztą stawała je bardziej elita polityczna NRD niż przeciętni Niemcy, którzy pod koniec tej formacji demonstrowali pod hasłem „Jesteśmy jednym narodem”. Próba podziału literatury niemieckiej w jej historii na poprzedzającą pokojową NRD i imperialistyczną RFN nie udała się w żadnym stopniu. Nie mam wrażenia natomiast, by w kontekście wojny i jej rozliczania w Niemczech stawało pytanie o istotę niemieckości; raczej zadawali je inni.

Praktycznie wszystkie kwestie, poruszane przez analizowanych przez Malinowskiego autorów, były i są podnoszone w Turcji (modernizacja, droga do nowoczesności przy zachowaniu wszakże własnej specyfiki, granice tureckości, miasto czy wieś jako reprezentujące naród, kosmopolityzm miast portowych *versus* narodowy interior).

Sygnalizowane pytania wielokrotnie słyszałem w społeczności żydowskiej (najczęściej w formie pytania o to kto jest w gruncie rzeczy Żydem) i w polskiej. W Polsce nie było pytania kto jest narodem. Ukształtowała się tu wizja narodu etnicznego (niezależnie od tego, co to właściwie znaczy), a zatem w dwudziestoleciu międzywojennym z tego konceptu *a priori* eliminowano Żydów i inne mniejszości (z niewielkimi wyjątkami). Pojawiało się natomiast pytanie o polskość jako taką i o samą Polskę. Co ciekawe i odmienne w stosunku do tendencji silnie zaznaczonej w Brazylii, w zainteresowaniu istotą Polski, polskości i dziejami Polski słabo pojawiało się pytanie o zacofanie społeczno-gospodarcze (brak modernizacji). Pytano raczej o polityczny bieg dziejów, granice polskości, niepodległość. W myśli polskiej takie pytania stawał nie tylko wspomniany wyżej Mickiewicz lub późniejszy Wyspiański w *Weselu*, ale odbijały się one w dyskusjach przechodzących w działania praktyczne wobec mniejszości we wspomnianym okresie międzywojennym i wręcz dzisiejszych. To także pytanie o „istotę polskości” w niedawnej historii, tej, którą pamiętamy i w dzisiejszych dyskusjach politycznych, aż do rozważań wokół katastrofy smoleńskiej włącznie. Gdy ćwierć wieku temu periodyk *Znak* ogłosił swoją ankietę „Czym jest polskość?”⁴, François Rosset napisał m.in., że jedną z cech polskości jest stawianie właśnie takiego pytania. Oczywiście częstotliwość i siła stawiania go nasilają się w momentach zwrotnych. Niewiele później, tyle, że już po upadku komunizmu, w języku twórczości plastycznej o elementy konstytutywne polskości zapytali Nina Smolarz, Janusz Bogucki i zaproszeni przez nich artyści⁵. Idąc przez sale „Zachęty” odnosiło się wrażenie, iż według autorów na polskość złożyły się elementy bardzo różne: żydowskie i chrześcijańskie, rodzime i kosmopolityczne, miejskie i wiejskie. W ich ujęciu źródła polskiej kultury są bardzo pluralistyczne — podobnie jak pluralistyczny był jej stan w momencie organizacji wystawy⁶.

⁴ Nr 390-391 i 394, 1987 i 1988.

⁵ *Epitafium i siedem przestrzeni. Drogi, tradycje, osobliwości życia duchowego w Polsce odbite w lustrze sztuki pod koniec XX w.*, Galeria „Zachęta”, Warszawa, czerwiec-lipiec 1991.

⁶ W tym punkcie nawiązuję do własnej recenzji z wystawy: Marcin Kula, *Co składa się na pojęcie polskości?*, „Przegląd Powszechny”, 1991, nr 10, s. 182-184.

Podobna chyba powinna być dzisiejsza diagnoza dla Brazylii. Miejmy nadzieję, że będzie ona zresztą stanowiła problem stopniowo coraz mniej istotny dla wielu ludzi, w tym intelektualistów. No i może „skończy się” — jak w wielu krajach nie stających przed lustrem — dosyć patchworkowym zestawieniem raczej trywialnych cech jako charakteryzujących naród. Niedawno brazylijski antropolog Roberto DaMatta zrobił właśnie takie zestawienie cech według niego istotnych jako brazylijskie:

Wiem więc, że jestem Brazylijczykiem a nie Amerykaninem, bo lubię jeść *feijoadę*⁷ a nie hamburgera; bo jestem mniej wrażliwy na rzeczy pochodzące z innych krajów, zwłaszcza na zwyczaje i idee; bo mam wyostrzone poczucie śmieszności strojów, gestów i stosunków społecznych; bo mieszkam w Rio de Janeiro, a nie w Nowym Jorku; bo mówię po portugalsku, a nie po angielsku; bo słysząc muzykę popularną, natychmiast odróżniam frevo od samby; bo futbol jest dla mnie grą graną nogami, a nie rękami; bo idę na plażę, żeby spotkać się i pogadać z przyjaciółmi, a nie żeby uprawiać sport; bo wiem, że w czasie karnawału uzewnętrzniam swoje fantazje społeczne i seksualne; bo wiem, że nie ma nigdy żadnego „nie” poprzedzającego sytuacje formalne i że wszyscy akceptują załatwianie po znajomości (*jeitinho*)⁸ w stosunkach osobistych i opartych na przyjaźni; bo rozumiem, że zachowywać się po łobuzersku, kiedy jest się przypartym do muru, jest czymś uczciwym, koniecznym i praktycznym w naszym systemie; bo wierzę w świętych katolickich, ale też w bożków afrykańskich; bo wiem, że jest przeznaczenie, a mimo to wierzę w edukację, studia i w przyszłość Brazylii; bo jestem lojalny w stosunku do przyjaciół i nie mogę niczego odmówić swojej rodzinie; bo w końcu wiem, że mam takie stosunki osobiste z ludźmi, które nie każą mi iść samotnie przez świat, jak to robią moi przyjaciele amerykańscy, którzy widzą siebie i istnieją jako jednostki.⁹

Niektórzy z nas coś do takiego zestawienia dodadzą, niektórzy odejmą. Niektórzy dodadzą doń nieco historii i wspólnych losów. Jeszcze inni zakwestionują sielankowy obraz, przypominając tortury z czasu dyktatury generalskiej, inni je uznają za wyjątek spoza charakteru narodowego itd. Mało kto będzie wszakże o taki tekst krzyżował kopie — a zaniechanie polemik o cechy, istotę, „brazylijskość”, będzie, jak sądzę, dobrym objawem w dziejach Brazylii.

* * *

Książka Malinowskiego jest ciekawym studium z historii myśli społecznej średniego zasięgu. Nie tej, traktującej o uniwersalnych zagadnieniach społecznych najwyż-

⁷ Typowa potrawa brazylijska, przygotowana na bazie czarnej fasoli; kiedyś podstawa wyżywienia czarnych niewolników.

⁸ Malinowski udatnie przetłumaczył to słowo, występujące w jego książce w kontekście omówienia twórczości Sérgio Buarque de Holanda, jako „sposobik” (s. 277).

⁹ Roberto DaMatta, *O que faz o Brasil, Brasil?*, 11a edição, Rocco, Rio de Janeiro 2000, s. 16-17; cyt. za: W.T. Miodunka, *Bilingwizm polsko-portugalski w Brazylii. W stronę lingwistyki humanistycznej*, Universitas, Kraków 2003 (Studia latynoamerykańskie Uniwersytetu Jagiellońskiego, nr 5), s. 61.

szego rządu, także nie tej rozpatrującej kwestie np. małych grup, ale rozpatrującej zagadnienia społeczności narodowej w szerokiej perspektywie. O tyle jest ważna dla refleksji nie tylko nad Brazylią, także dla socjologii procesów narodotwórczych i socjologii myśli narodowej w perspektywie porównawczej. Jednocześnie trzeba zaznaczyć, że nie jest to studium tworzenia się narodu brazylijskiego — chyba, że o tyle, o ile myśl o narodzie jest elementem konstytutywnym, a w jakimś stopniu sprawczym tego procesu. To jest studium myśli elity, nawet nie mas, także nie realiów — a jeśli realiów, to „tylko” w tym sensie, w jakim myśli są też zjawiskiem realnym.

* * *

Jest to bardzo ciekawe studium z punktu widzenia rozważań nad historiografią jako zjawiskiem. Dobrze w nim widać kwestie uwarunkowań rozważań nad dziejami i dyskusyjność zagadnienia obiektywizmu (ewentualnie braku obiektywizmu). Ciekawie widzi się rolę historiografii w procesach narodotwórczych i w myśleniu o narodzie. W znakomitym tytule jednego z rozdziałów Malinowski określił „poszukiwanie brazylijskości” jako sytuujące się „pomiędzy odkrywaniem i aktem kreacji” (s. 366). Badając i odkrywając okoliczności powstawania narodu brazylijskiego, analizowani autorzy zarazem go tworzyli — przy czym każdy z nich mógł robić jedno, drugie, bądź jedno i drugie. Praca jest ciekawa także z punktu widzenia interesującego historyków, zdarzającego się zjawiska szukania wytłumaczeń stanu teraźniejszego w przeszłości. Z tych wszystkich powodów warto by porównać analizowanych przez Malinowskiego autorów np. z Lelewelem w wypadku Polski.

Co nie najmniej ważne, bohaterowie Malinowskiego dostarczają również przykładów tworzenia syntez historii swojego kraju. O tym warto myśleć. Historia jako nauka coraz bardziej realizowała badania monograficzne, a tworzone syntezy dziejów narodowych były często raczej kompendiami niż syntezami. Mam wrażenie, że wróci epoka syntez, których istotą będzie długofalowe, autorskie spojrzenie. Są oznaki, że na całym świecie następuje powrót do humanistycznego eseju i szerszej, niekoniecznie pozytywistycznej refleksji.

Marcin Kula

Adam Leszczyński, *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych. 1943–1980*, wstęp Z. Bauman, ISP PAN, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013, 583 ss.

Nie lubię dzielić nauk na dyscypliny. Skoro jednak istnieją podziały, a jestem historykiem, to zacznę od pożytków, potencjalnie płynących z tej książki dla naszego środowiska zawodowego.

Na tle większości książek historycznych ta praca podoba mi się jako prawdziwie interdyscyplinarna. Rzeczywistość społeczna nie da się podzielić na pourywane

kawałki. Historycy na ogół piszą zresztą o różnych aspektach życia ludzi w poszczególnych epokach — tylko na ogół bez znajomości dorobku nauk, zajmujących się wybranymi dziedzinami. Bywają wyjątki. Na przykład historycy gospodarczy na ogół są wykształceni w ekonomii. Cieszę się, że Adam Leszczyński, choć nie definiuje się jako historyk gospodarczy, jest wśród tych wyjątków.

Na tle większości prac historycznych podoba mi się ogromne czytanie autora w literaturze przedmiotu. Nie neguję wagi źródeł z epoki w studiach historycznych. Autor ma zresztą własne, klasycznie historyczne doświadczenie badawcze, które włącza do analizy. Nie ogranicza się jednak do pisania o sprawach bezpośrednio przebadanych źródłowo. Czyni szczęśliwie, bowiem skupianie się przede wszystkim na źródłach utrudnia szerszą refleksję — choćby z powodów czasowych. Za bardzo ważną drogę poznania uważam też osobiste przejechanie przez autora dużej części świata, o którym pisze. Ponieważ swego czasu zaliczyłem wieloletnią pracę nad historią Brazylii bez pobytu na miejscu, więc tym bardziej doceniam doświadczenie, jakie autor zyskał w swoich podróżach.

Podoba mi się rozważanie przez autora problemu jako problemu, a nie jako zjawisk danego miejsca i czasu. Cieszy mnie myślenie autora — i to myślenie szerokie, uogólniające — bez ograniczania się do ustalania faktów, choćby były nieznane lub mało znane (odwrotna sytuacja jest fatalną wadą naszych studiów).

Cieszy mnie złamanie przez autora konwencji podziału chronologicznego i specjalizacji geograficznej, zazwyczaj ograniczających rozważania. Podobnie raduje mnie nie dzielenie dziejów (nie dzielenie analizy) na „dawniej” i „dziś” oraz na własny kraj i historię powszechną. Historia nie dzieli się według takich kryteriów, zaś nazywanie przez historyków „powszechną” historii po prostu obcych krajów jest intelektualną pomyłką (to jest najczęściej po prostu historia innych krajów, a nie żadna historia powszechna). Jeśli szukać dziury w całym, to żałuję, że autor nie poświęcił uwagi Turcji — choć może jest to zbyt znany przypadek. Indie i Chiny w jego analizie były dla mnie ciekawsze nawet od Afryki, co paradoksalne o tyle, że akurat Afrykę autor najlepiej zna. Może moje wrażenie tłumaczy się tym, że z dawniejszych prac autora wiedziałem z grubsza, co ma do powiedzenia o tym kontynencie.

Niezależnie od potencjalnej wagi tej książki dla środowiska historyków, cieszę się też korzyści intelektualne, jakie książka może przynieść wszystkim czytelnikom.

Autor pokazuje jak każda dogmatyczna koncepcja łamie się w konfrontacji z rzeczywistością — z czego nie wynika wniosek, ażeby koncepcji nie tworzyć. Wynika natomiast to, żeby do wypracowanych koncepcji podchodzić aktywnie, nie zaś traktować je na podobieństwo religii. Pragmatyzm w połączeniu ze zdrowym rozsądkiem jest w tym wypadku (w innych pewno też!) lepszy od doktrynerstwa. Dotyczy to również dobrze też o genezie rozwoju Europy (pozostania innych w tyle), jak recepty dzisiejszej ekonomii. Na wczesnym etapie mojej drogi zawodowej polemizowałem z André Gunder Frankiem, który gotów był całość zjawiska zacofania gospodarczego tłumaczyć stanem zależności, w jakim znalazły się społeczności pozaeuropejskie. O moich argumentach Frank powiedział wówczas współnemu znajomemu, że są *más o menos absurdos* (mniej lub bardziej głupie). Dziś sformułuję swoją myśl trochę inaczej: prawdziwie absurdalne nie było zwrócenie uwagi na wagę zależności, ale przekonanie, że tym czynni-

kiem i w ogóle jednym czynnikiem da się wytłumaczyć całość rozważanego zjawiska — i to we wszystkich jego przejawach. „Teoria zależności”, wiążąca zacofanie z podporządkowaniem krajów i terenów, na wiele spraw zwróciła uwagę, ale nadmiernie absolutyzowała przyjęte wyjaśnienie. Z tego punktu widzenia niedawne podejście do neoliberalizmu i przekonanie, że jedna (ta jakoby jedynie prawdziwa!) recepta ekonomiczna może stosować się do wszystkich i wszystkiego, jak Ziemia okrągła, było tak samo doktrynerskie, czy dogmatyczne, jak wiara w planowanie. Na tym tle środowisko mądrzejszych polskich ekonomistów, chcących zreformować gospodarkę PRL, rysowało się pozytywnie, jako relatywnie pragmatyczne. Michał Kalecki czy Czesław Bobrowski, zdawali się stać na stanowisku lekarza, który chce pomóc i w tym celu wybiera najlepsze metody, jakie są do zastosowania w danych warunkach. Powiedzenie, że w ogóle „wszystko” powinno być inne (gospodarka w ogóle powinna być inaczej zorganizowana, sprzęt medyczny znacznie lepszy itd.), nie jest sztuką — choć czasem w ramach uczciwości, w tym w ramach uczciwości zawodowej, trzeba jednak powiedzieć „nie, w tych warunkach nie można pracować”. Obu wymienionym ekonomistom zdarzało się zresztą tak mówić.

Intelektualnie ważne jest pokazywanie w recenzowanej książce zmian tendencji w myśleniu ludzkim/społecznym. Wszyscy jesteśmy w dużym stopniu pozytywistami. Myślimy w kategoriach: przebadamy, opiszemy, rozpoznamy sprawę... i wypracujemy obraz adekwatny do rzeczywistości lub/i wyciągniemy słuszne wnioski. W małym stopniu zdajemy sobie sprawę, w jak wielkim stopniu nasze myślenie jest też zjawiskiem historycznym, uwarunkowanym przez epokę, modę, dominujące tendencje. We współczesnej nauce niezależność i oryginalność nie są zresztą w cenie; prawo do jednego i drugiego jest przyznawane jedynie najbardziej znanym spośród nas.

Świadomość zmian sposobu myślenia w dziejach jest fundamentalna dla kultury zawodowej przedstawicieli każdej dyscypliny. Potencjalnie chroni przed domniemaniem, że nasze własne myślenie jest jedynie możliwe i jedynie słuszne. Cała historia myśli ekonomicznej, czy społecznej, powinna być szczepionką przeciw takiemu podejściu i dlatego tym bardziej powinna być nauczana na uczelniach. Podobnie istotną funkcją nauczania historii — funkcją, do której przywiązujemy niestety zbyt małą wagę — jest pokazywanie relatywności naszych rozwiązań. Jeżeli historia rzeczywiście czegoś uczy, to chyba tego, że rozwiązania przyjmowane w podobnych sprawach bywały inne w różnych czasach i sytuacjach — a nawet jeśli bieg dziejów doprowadził do rozwiązań dzisiejszych, to jutrzejsze będą inne. Stan dzisiejszy jest wprawdzie ukoronowaniem tego, co było dotychczas, ale jest też początkiem tego, co nowe i co się rodzi.

Ważne jest pokazanie przez autora zjawisk występujących w Polsce i w tutejszej myśli ekonomicznej na szerokim tle, także jako fragmentu zjawisk światowych. W ogóle Polska była znacznie mniej specyficzna niż to się często sądzi. Nawet realny socjalizm, nie tylko ten zainstalowany w Polsce, ale ten traktowany jako zjawisko, też był mniej oddzielony od różnorodnych tendencji światowych niżby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka.

Co nie najmniej ważne, książkę, choć nie jest powieścią kryminalną, dobrze się czyta. To jest ważne na tle podstawowego kryterium naukowości, funkcjonującego

RECENZJE • OMÓWIENIA

w naszej nauce, a przynajmniej w bliżej przeze mnie obserwowanej historiografii — którego istotą jest, że praca winna być nieczytelna lub/i nudna oraz mieć przypisy. Ta ma przypisy i, co jeszcze ważniejsze, stoi za nią ogromne zaplecze wiedzy autora — ale dobrze się ją czyta.

Marcin Kula